№ 5. Czwartek, dnia 3 Lutego. Rok 1876.



WARSZAWA
dnia 22 Stycznia (3 Lutego)
1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

SŁOWIK W KLATCE.

W małej klateczce ciemnej i ciasnej
Śpiewak natchniony,
Marząc o chwilach przeszłości jasnej,
Przędzę boleści snuł z piersi własnej,
Słowik więziony.

Śpiewał o gaju uroczych cieniach
Gdzie ujrzał życie!
O blasku gwiazdek, słońca promieniach,
Zielonych łąkach, srebrnych strumieniach,
Niebios błękicie!

Śpiewał o wdzięku róży płomiennej,
O swej miłości,
Jękiem tęsknoty rzewnej... bezdennej,
Co darmo puka w pancerz kamienny
Ludzkiej litości!

Darmo mu w świeże gałązki stroją
Więzienne ściany!
Nietknięte z jadłem naczyńka stoją:
Tęsknotą tylko karmi pierś swoją
Ptaszek znękany.

I coraz rzewniej, coraz boleśniej,
Na los się targa;
Ludzie słuchają... lecz im się nie śni,
Jaka się kryje w tej pięknej pieśni
Zabójcza skarga!

I chwalą piosnkę... słuchają dalej
Z spokojną twarzą...
Lecz że śmierć płynie w jej dźwięków fali,
Że jej żar serce śpiewaka pali,
Nawet nie marzą!

Że nie wyżyje pierś oskrzydlona
Życiem niewoli!
Tymczasem ptaszę... mdleje... i... kona...
Kończąc ostatnią swojego łona
Piosnkę niedoli!

M. B.

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Tegoż samego dnia Sirawski już przy zmroku zajechał wprost do Wólki Słomianej, która leżała na pół drogi do jego Zakrzewia. Czuł potrzebę wynurzenia się przed pułkownikową i przyjacielskiej pogawędki z kapitanem. Znalazł też jak zawsze braterskie przyjęcie. Po przywitaniu prosił sędziwej matrony że ma z nią pomówić na osobności, gospodarz więc niebawem wyszedł do swej alkówki.

Kiedy z całą szczerą otwartością, ze szczegółami opisał swoje poznanie z piękną Klarą, gdy odmalował jej i sędziwego ojca postacie, pułkownikowa zapytała:

— A jakże się ten poczciwiec nazywa?

— Jan Seklucyan, odrzekł, mój dawny profesor.

— To mój nawet blizki krewniak! zawołała pułkownikowa, znam go dobrze, a jego czcigodna żona a matka Klarci, była moją wielką przyjaciółką. Jego matka, to siostra cioteczna mojej, a mój mąż nieboszczyk, poczciwego jak go zwał *bakalarza* nigdy się nachwalić nie mógł. Dobre to i zacne gniazdo, pan Bóg ci tam chyba drogę wskazał, mój kochany Bazyli, posiędziesz prawdziwą perłę w Klarci, jeżeli potrafisz zdobyć jej serce...

Sirawski uradowany przywołał zaraz kapitana, i z gorączkowym pośpiechem przemówił:

— Pawle! gotuj się do drogi, za tydzień marsz ze mną!

— A gdzież to mosanie *sapristi?* zapytał z uśmiechem kulawy wojak.

— Niedaleko! tylko do Warszawy, odrzekł Bazyli.

— *Sapristi!* czyś zwarjował? nie pojadę.

— Ale pojedzie Pawełek, pojedzie, choćby na prośbę matki, wyrzekła poważnie pułkownikowa.

— A... a... a! to wcale co innego, jak mi matuchna powie. Ale ten świszczypała, mówił udobruchany, ten smarkacz mnie staremu wydaje rozkazy, jakby był moim majorem.

I uściskał swego gościa.

— Teraz mi powiedz, po co pojedziemy?

— Oświadczysz mnie ojcu, o rękę panny...

— Ha! więc mam być swatem! Ale ja fraka nie mam, przemówił kapitan.

— Nic nie szkodzi, bo to do krewnych naszych, do twego wuja Seklucyana... objaśniła matka.

Pan Paweł zrobił wielkie oczy, potem się przeżegnał, a potem kiwając głową zawołał:

— A to wisus ten Bazyli, jak on tam wtakiem dużem mieście, odkrył taki klejnot jak Klarcię. No! no! tak to zgoda z nami, będę w pogotowiu czekał, a teraz chodźmy na wieczerzę.

Bazyli podał rękę pułkownikowej, a rozradowany kapitan poprowadził pannę Kunegundę. Przy stole odezwała się pierwsza matka:

— Wielka to dla mnie pociecha, że tacy poczciwi ludzie, jak ty mój Bazyli i Adaś, będziecie mieli takie dobre żony; bo myślę że teraz i pani Bonifacowa nie będzie się sprzeciwiała oddaniu swej Ewuni. Nasza okolica się ożywi i my z Pawłem pozyskamy miłe dwa sąsiedztwa.

— O droga pani! całując rękę pułkownikowej przemówił Bazyli, jeżeli Bóg dobry ziści moje zamiary, każde przybycie pani do mego domu będę uważał za dzień szczęśliwy i uroczysty...

Nazajutrz opuścił dworek, ażeby za dni kilka wrócić i zabrać z sobą kapitana. Przybywszy do Zakrzewia napisał bezzwłocznie do Adasia, i uprzedził ażeby był gotów, gdyż razem pojadą do Warszawy. Wzywając go, miał myśl ukrytą, bo ludzie szlachetni zawsze się troszczą o szczęście swoich przyjaciół — a Bazyli kochał Adama.

Te dni kilka przebył w wielkim niepokoju. Rudzicki na czas oznaczony przybył, i zaraz wyruszyli do Wólki Słomianej. Kapitan już był gotów, nazajutrz więc równo z brzaskiem dnia wyruszyli do Warszawy.

Gdy stanęli na miejscu, długie narady trwały, jak wypada postąpić dalej; postanowiono że następnego dnia przed południem sam Bazyli odwiedzi pana Seklucyana.

— Obejrzysz pilnie stanowisko,—mówił poważnie kapitan pokręcając wąsa,—całe pole bitwy, żebyśmy *sapristi* nie przegrali sprawy. Panna ci jeszcze *tak* nie powiedziała, a ja nie chcę żeby mi przez *nie*, dała odkosza. Waść jedź i dobrze mi się spraw. My tu pogramy z Adasiem w szachy, a gdy on wyjdzie, przeczytam gazety i będę ciebie oczekiwał.

Był to właśnie tłusty czwartek i wieczór suty u państwa Bonifacych. Rudzicki przybrawszy się w nowe ubranie, czekał wieczoru. Kiedy skończył toaletę, kapitan obejrzawszy go do koła, rzekł z uśmiechem:

— Mój Adaś przystojny chłop *sapristi*, słowo honoru! Miała gust Ewunia, i nie jednej tam pannie serduszko do ciebie zapuka. Ale trzymaj się ostro mój chłopcze, i patrz śmiało na tę wymokłą młodzież warszawską, co na badylich nogach z okularami na nosie, włóczy się po ulicach miasta albo w kawiarniach gra w bilard od rana. A pamiętaj na słowo które dałeś mnie i Bazylemu, że nic Bonifacemu nie powiesz o mojej bytności w Warszawie. Jużem gorycz w sercu przetrawił i żal ukoił że niemcowi sprzedał gniazdo naszych przodków, ale jeszcze z nim się zobaczyć nie mogę i nie chcę. Na to, abym go uściskał jak brata, potrzebuję jeszcze dłuższego czasu.

Tego dnia Klara zerwała się rano, ażeby faworki usmażyć dla ojca, który je miał za osobliwy specyał. Wcześnie nakryto do stołu, i oboje już mieli zasiadać, kiedy służąca wniosła półmisek z tym *chróstem*.

— A! zawołał starzec, to mój karnawałowy przysmak, dziękuję ci, moje kochane dziecko, żeś nie zapomniała o tłustym czwartku. Świętej pamięci twoja poczciwa matka zawsze o faworkach w dniu tym i w ostatni wtorek pamiętała. Ale coś spodziewanego gościa nie widać..

Ledwie te słowa wymówił, gdy drzwi się nagle roztworzyły i na progu ukazał się Bazyli z rozpromienionem obliczem. Klara radosny okrzyk wydała, a ojciec rzekł:

— *Verbum nobile*! tak to lubię mój kochany uczniu; teraz siadaj i pożywajmy specyały, które Klarcia własną ręką przyrządziła.

— Pani pułkownikowa Przecka, mówił Bazyli siadając, ukłony i pozdrowienia swoje przesyła panu profesorowi i jego córce.

— A waszeć, kochany panie, zkąd znasz tę świętą niewiastę, bo tak mogę o niej powiedzieć, zapytał Seklucyan.

— Mieszkamy w sąsiedztwie, a ja zaszczycam się jej znajomością i względami łaskawemi, odpowiedział Bazyli.

— To chwała Bogu, teraz cię jeszcze więcej kocham, bo pani siostra tylko poczciwych ludzi lubi i poważa.

— Przybył tu ze mną i jej syn, pan kapitan, dodał Bazyli.

— Co! wykrzyknął starzec, mój poczciwy Pawełek kulawy! A niechże go zobaczę, niech uściskam! To żeś to nam, mój kochany panie, sprawił niespodzianą radość. To twój brat, moja Klarciu, chociaż w wieku daleko starszy.

— Jutro niezawodnie tu przybędziemy, mówił Bazyli patrząc promienistemi oczyma w oblicze córki; gdyż, dodał ciszej, aby starzec nie dosłyszał, w mojem imieniu ma złożyć gorącą prośbę.

Klara spuściła oczy, gdy profesor rzekł:

— Moim zwyczajem idę do kominka, pogwarzcie sobie, a potem znowu się razem zabawimy.

I jak dawniej po fajce zadrzemał smaczno. Bazyli w niepokoju długo walczył z sobą, wyrzekł nakoniec ujmując obie dłonie Klary i całując z zapałem:

— Czy droga pani domyśla się jaką prośbę ma zanieść kapitan do jej szanownego ojca?

Dziewczę spojrzało rzewnym wzrokiem w jego oczy, i długo tak wpatrując się, wyrwało obie dłonie i zakryło mu usta.

— Nie mów pan ani słowa... wiem wszystko. Czyż tak zacny jak pan człowiek, mógłby kłamać spojrzeniem. Ale pomówmy otwarcie, poważnie patrząc na życie.

Czyż nigdy myśl panu nie przyjdzie, żem poszła za pana nie głosem serca powodowana, ale dla poprawienia sobie losu i doli ojca?

Bazyli zerwał się z krzesła, i stojąc z podniesioną w górę ręką, przemówił uroczystym głosem:

— Przysięgam pani na Boga i na pamięć mojej ukochanej matki, bom ojca stracił w niemowlęcym wieku, a ona była moją świętą i jedyną opiekunką, że ta myśl chwilami mnie trapiła, ale gdym cię lepiej poznał, odbiegła mnie na zawsze i nigdy nie wróci, jak to życie kiedy raz zagaśnie...

— Więc dobrze! odrzekła poważnie, kochany wujaszek śmiało może wiadomą prośbę ojcu memu przedstawić... odmowy nie usłyszy, a Bóg dobry, może nam zeszle błogosławieństwo swoje.

Bazyli porwał jej drobne rączki i okrywał pocałunkami, gdy ocknął się ojciec i oboje do niego pospieszyli.

— Dla czego tateczek tak krótko drzemał? zapytała troskliwie córka.

— Śniła mi się, moje drogie dziecię, twoja matka, moja ukochana Hanna, całowała mnie w głowę i płakała. A gdym zapytał dla czego płacze? odpowiedziała: «Kochany Jasiu, to łzy radości!» I ocknąłem się. Jeszcze czuję jej słodki pocałunek i tych łez rosę na mojej siwiźnie.

Córka upadła mu do kolan, Bazyli ukląkł przy nogach starca, który pod wpływem sennego marzenia, rozrzewniony, oboje całował i przyciskał do piersi.

— Zostań z nami na herbacie, mówił ocierając oczy, weselej nam będzie!

— Najchętniej bym to uczynił, odrzekł, ale kapitan niecierpliwie mnie czeka. Jutro tu rano przybędziemy razem.

— Czekamy panów ze skromnym obiadkiem, będą znowu i faworki,—dodała Klara.

Bazyli uszczęśliwiony wybiegł z dworku, i czekającemu sankarzowi kazał pędzić do mieszkania. Zaledwie ukazał się we drzwiach, gdy kapitan wykrzyknął:

— Sapristi! a cóż, wyprowadzasz mnie jutro na straconą forpocztę?

— Victoria! victoria! kochany Pawle! odparł uradowany Bazyli. Nieprzyjaciel już wie z czem stary wiarus przybywa i będzie kapitulował...

— No, tak, to dobrze! lubię gdy się kuje żelazo na gorąco, nie tak ślamazarnie jak ten Adaś. Poszedł do Bonifacych, ale z takim strachem jak tchórz na armaty. Sapristi! musiałem mu dodać animuszu! Chłop przystojny, młody, zamożny, a taki lękliwy do kobiet!

— To nie tak—rzekł śmiejąc się Bazyli—jak nasz kochany kapitan, kiedy miał całe nogi...

— Sapristi! niechbym się i teraz na dobre zakochał, tobyś zobaczył, że i przy mojej kulawiźnie żwawiej brałbym się do sprawy.

Nazajutrz, kiedy Adam spał jeszcze twardo, bo wrócił dopiero za dobrego dnia z wieczoru, o dziesiątej ruszyli razem do pana profesora. W okienku zastawionem kwiatami, wyglądała powabna twarzyczka panny Klary. Seklucyan siedział na swoim fotelu w pierwszym pokoju.

Bazyli roztworzył drzwi; wszedł pierwszy upadając na nogę kapitan, a gdy się starzec zerwał i serdecznie zaczął go ściskać, odezwał się poważnie:

— Niech wujaszek kochany raczy siadać, bo ja *sapristi*!...

Wymówiwszy te słowa zwrócił się nagle do córki i zawołał:

— A cóż, siostrzyczko, brata swego nie powitasz! Uściskaj że go serdecznie jak twój ojciec...

I porwawszy ją w swoje objęcia, w głowę ucałował.

— Teraz, kochany wujaszku, mam prośbę z którą umyślnie przyjechałem. Ot! Bazyli, ulubieniec mojej matuchny, wyciągnął mnie jak starego borsuka z jamy i przywiózł, ażebym dla niego prosił o rękę Klarci, mojej siostrzyczki. *Sapristi*! spodziewam się że nie spotka mnie odmowa.

— Dziękuję ci mój Pawle za twoją fatygę, ale ta sprawą do niej samej należy.

Na te słowa Bazyli ukląkł i wyciągnął ręce ze spojrzeniem tak błagalnem, jakby prosił o życie. Starzec wzruszony do głębi spoglądał na córkę, kapitan pokręcał siwego wąsa, gdy Klara podając klęczącemu obie dłonie:—

— Oto moja odpowiedź! wyszepnęła z cicha.

Ojciec wzniósł łzawe oczy w górę i nad pochyloną parą zrobił znak krzyża — a kapitan zawołał:

— *Sapristi*! to gracko interes skończyłem! Teraz wujaszek pozwoli że zaręczyny zaraz odbędziemy, i oblejemy starym miodkiem z mojej pasieki, który przywiozłem z sobą!

Przyniesiono z sanek parę gąsiorków opleśniałych starannie słomą obwiniętych. Pan Paweł sam odkorkował, zastawiono i świeże faworki, a gdy Bazyli przywieziony pierścionek wkładał na paluszek Klary, i od niej odbierał obrączkę jej matki, swat nalał kieliszki i radośnie wzniósłszy zdrowie najprzód wujaszka, potem swej drogiej matuchny, pił w końcu za pomyślność państwa młodych.

Kapitan, wróciwszy do hotelu, nie chciał dłużej bawić w Warszawie, a gdy go Bazyli zatrzymywał, odrzekł:

— Zrobiłem coś chciał i sapristi sprawiłem się gracko, mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, ale zaraz na całą noc jadę. Tam mnie wygląda moja matuchna, tam wzywa gospodarstwo, a tylko pańskie oko konia tuczy. Noc widna i pogodna, sanna jak po stole, to na śniadanie właśnie przybędę do siebie.

Uściskał Bazylego, kazał mu pozdrowić wujaszka i siostrzyczkę, zajrzał do pokoju Adama, który po dobrym obiedzie znowu chrapał, i wyruszył w drogę.

Od tej chwili Sirawski codziennym bywał gościem w dworku swojej narzeczonej, a za każdą bytnością nowe w niej odkrywał przymioty. Nie brakło wątku do rozmowy, gdy zaczęli układać razem na przyszłość swoje zajęcia, prace i rozrywki wiejskie. Starzec już mniej się mięszał do rozmów swoich dzieci, jak ich teraz nazywał, ale w swojej sypialni czytał, pisał i drzemał na przemiany. Ułożono na 8 marca zaślubiny, jako na dzień imienin ojca Klary, na Jana Bożego. Po popielcu w parę dni miał Seklucyan z córką opuścić Warszawę i pojechać do Wólki Słomianej; połączenie młodej pary zamierzono odbyć w pobliskim parafialnym kościele za indultem. Kiedy o tem z ojcem Klara mówiła, ten jej zapytał:

— A wyprawa?

— Bazyli zakazał mi o tem myśleć,—odrzekła, — bierze mnie jak jestem, ubogą, ale kochającą go szczerze.

Starzec słowa nie odrzekł, tylko z cicha modlić się zaczął.

(C. d. n.)

Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE,

oficera francuzkiego **Linant de Bellefonds.**

Zabiegi podejmowane w ostatnich czasach w celu zbadania środkowej części Afryki, a mianowicie okolicy źródeł Nilu, która dotąd tak mało była nam znaną,—powszechne i żywe w uczonym świecie budzą zajęcie. Wyprawy naukowe, wojenne, handlowe, w których stowarzyszenia prywatne i kraje całe czynny przyjmując udział, nie szczędzą olbrzymich nakładów i kosztów, a ludzie gieniuszu, namaszczenia i pracy, poświęcają im trudy, mozoły, zdrowie a nawet życie, przyniosły już plon obfity. Dziedzina geografii, nauk przyrodzonych, etnografii i wiele innych wzbogacone zostały tym plonem, a ogół czytający, z każdym miesiącem, z każdym nieledwie tygodniem dowiaduje się nowych, nieznanych mu rzeczy, które prasa europejska skwapliwie zbiera i drukuje. Badania ściśle naukowe wspierają tu wojenne podboje i na odwrót, wzajemnie się posiłkując i wspólne zbierając zdobycze. Rząd egipski i armia egipska, obsługiwana przeważnie przez oficerów angielskich i francuzkich, znakomicie przyczyniają się do tych zdobyczy. Sztab główny ministeryum wojny w Egipcie, w peryodycznie drukowanych memoryałach, podał do wiadomości publicznej notaty francuzkiego oficera «Linant de Bellefonds», który należał do głośnej wyprawy pułkownika Gordon'a. Linant de Bellefonds był z liczby najzdolniejszych pracowników w sferze ciekawych odkryć afrykańskich, a zamieniając nieustannie szablę lub rewolwer na pióro, poległ przed kilkoma miesiącami w potyczce z Biarissami, powracając do Gondokoro. Ciekawe te notaty, dotyczące pobytu jego w rezydencyi króla «Mteza» z Uganda na jeziorze Wiktorya, i spotkania tam uczonego podróżnika Stanley'a, korrespondenta «New-York Herald'a» i «Daily Telegraph'u» przedrukowane zostały w Monitorze egipskim z d. 5 listopada r. z., zkąd je powtórzyły wszystkie prawie specyalne i niespecyalne wydawnictwa Europy. Poczytując je za mogące zająć i naszych czytelników, podajemy je tutaj w przekładzie:

«*Niedziela, 11 kwietnia 1875 r.* Roztasowaliśmy się już u Mtezy; rezydencya jego odległą jest o jeden zaledwie kilometr od pałacu który dla nas przeznaczono; ale nie uprzedzajmy wypadków.

«Rano nie możemy wyruszyć w drogę z powodu deszczu, który całą noc padał; o godzinie ósmej deszcz nareszcie ustaje i zrywa się wiatr; czekamy dopóki liście drzew nie otrząsną się z wody, gdyż inaczej zmoklibyśmy do nitki w ciągu dziesięciu minut, zwłaszcza też idąc pod bananami, których wklęsłe liście tworzą prawdziwe rezerwoary, wydzielające z siebie strumienie wody za lada wiatru podmuchem. Istne prysznice zlewające nieszczęśliwego przechodnia.

«Mieszkańcy Sudanu bardzo obawiają się deszczu, i wiele też cierpią z jego przyczyny.

«O dziewiątej ruszamy w drogę; mamy do przebycia kilka jarów, w których nagromadzona skutkiem deszczu woda, utrudnia nam przejście. Brniemy po kolana w rzadkiem błocie, i po godzinie takiej przeprawy docieramy do posiadłości matki króla Mtezy; deszcz zmusza nas znowu szukać schronienia, przytem też potrzebujemy przebrać się zanim wejdziemy do stolicy Ganda. W tym celu zajmujemy bez ceremonii chaty znajdujące się wzdłuż drogi.

«Godzina dwunasta, deszcz ustał; posłaniec od Mtezy, przynosi mi królewskie «salam» (pozdrowienia, ukłony). Toaleta nasza skończona; sudańscy nasi żołnierze doskonale wyglądają w pąsowych tunikach i białych pantalonach, z ładownicami z lamparciej skóry.

«Wyciągamy naszą linią na głównym gościńcu przy odgłosie trąb i bębnów; — przed nami Mtongalisy grają na «nogara» i powiewają chorągwiami, a w około nas dziesięciotysiączna ludność biega, śpiewa, podskakuje. Wszystko to razem tworzy widok dziwaczny i szczególniejsze sprawia wrażenie. Posuwamy się ciągle naprzód drogą szeroką na 30 do 40 metrów. Lud towarzyszy nam zajmując okoliczne wzgórza i ogrody. Przybywamy nareszcie na olbrzymi plac zapełniony ludem w zwartych massach; jedni siedzą, drudzy stoją, a wszyscy otaczają nas, w religijnem pogrążeni milczeniu. Za przybyciem naszem odzywają się głosy niezliczonej ilości «nogara». Jesteśmy w rezydencyi królowej matki. Mtongalisy co pięć minut przynoszą mi salamy jej królewskiej mości ; moi trębacze trąbią nieustannie, ztąd wrzawa, krzyk, zamięszanie nieopisane, — wszystko jednak razem wzięte nie jest bez pewnego uroku i cechy wyłącznej, oryginalnej. Wyraźnie czuć, jakby kraj cały obchodził jakieś święto.

«Tłum otaczający nas zwiększa się z każdą chwilą, lecz bynajmniej nie utrudnia naszego pochodu. Zostawia nam bowiem gościniec wolny, a sam tłoczy się i rozpościera po okolicznych wzgórkach i sadach. Niezliczone te massy ludu przybranego najdziwaczniej i najróżnorodniej, zbite jakby w jednolitą całość, zajmujące wyniosłe pagórki i naraz w szybkim biegu staczające się w niziny, stanowią obraz pocieszny, wesoły, trudny do opisania. Wzdłuż całej drogi mnóstwo kobiet stoi przed domami, przypatruje się nam i zachwyca się naszym orszakiem. Lekarz-czarownik, okryty tysiącem łachmanków, zbliża się do mnie i wita przemową. Co kwadrans zziajany kuryer przynosi mi salam od króla Mtezy i wraca pędem strzały, aby u stóp tronu złożyć moją odpowiedź.

«Nakoniec ukazuje się nam rezydencya Mtezy, zbudowana na północnej pochyłości wzgórza; widok z niej rozciąga się na obszerny krajobraz.

«Powiadają mi że Mteza przypatruje się naszemu pochodowi przez lornetkę. Kwadrans jeszcze postępujemy aleją wiodącą do królewskiej siedziby, — poczem przybywamy do przeznaczonych nam mieszkań.

«Mieszkania te okala jedno ogólne ogrodzenie, wewnątrz którego znajduje się kilka dziedzińców. Moja kwatera, wyłącznie dla mnie zbudowana, odznacza się komfortem.

«Mteza zaczyna mnie już nudzić swemi pozdrowieniami; na szczęście dołącza do nich tym razem posyłki; przysyła mi jaj, bananów, ryżu, cebuli, trzciny cukrowej i dwie kozy; — uczta to prawdziwa, warta więcej od najlepszego obiadu u Orika w Kairze».

«*Poniedziałek 12 kwietnia.* P o s ł u c h a n i e u M t e z y. S p o t k a n i e ze S t a n l e y'e m. Dziś rano miałem mieć posłuchanie u Mtezy, ale deszcz padający nieustannie aż do południa stanął temu na przeszkodzie.

«O drugiej godzinie wypogodziło się. Mteza przysłał uwiadomić mnie że gotów jest na moje przyjęcie. Daję więc znać do obozu i cała moja armia stroi się w najświeższe kostiumy. Jesteśmy gotowi; dzielni moi

Sudańczycy wyglądają wspaniale w pąsowych kurtkach i białych szarawarach. Staję na ich czele i ruszamy z muzyką trąb i bębnów; postępujemy szeroką na 80 do 100 metrów aleją, w kierunku od północy ku południowi, zmierzając do rezydencyi Mtezy. Pałac Mtezy przedstawia się nam zbudowany na wzgórzu panującem nad okolicą. Po dwudziestu pięciu minutach drogi stajemy przed bramą pałacu, zostawiając za sobą wzniesione wzdłuż drogi budynki z ogrodami opasanemi płotem z trzciny, w których mieszkają wysocy dygnitarze wojskowi i cywilni. Przebywamy następnie pięć dziedzińców napełnionych krzątającą się ludnością Mtongalisów (żołnierzy i policyantów). Na przeciwległym końcu znajduje się ostatni dziedziniec, zamieszkały przez egzekutorów czyli katów, którym za oznakę służy sznur misternie skręcony z włókien bananu (narzędzie śmierci). Wchodząc na ten dziedziniec uderzony zostaję panującą w nim przeraźliwą wrzawą; tysiące instrumentów, jedne od drugich dziwaczniejsze, wydają naraz dźwięki najniezgodniejsze i odurzające. Straż Mtezy uzbrojona w strzelby prezentuje przedemną broń; król stojąc czeka mnie u wejścia do audyencyonalnej sali. Zbliżam się i oddaję mu ukłon na sposób turecki. On mi podaje rękę, którą ja ściskam; spostrzegam w tej chwili na lewo przy królu postać Europejczyka z twarzą ogorzałą. Oczywiście jest to jakiś podróżnik; przypuszczam że to być musi Kameron. Patrzymy sobie w oczy nic nie mówiąc.

«Mteza wchodzi do audyencyonalnej sali; idziemy za nim. Jest to rodzaj krużganku, długi dwanaście metrów, szeroki cztery metry; sufit ma pochylony ku stronie wchodowej, wsparty na szeregu kolumn z drzewa «dom». Kolumny te dzielą salę na środek i dwie nawy. Sala główna, środkowa, jest pustą i prowadzi do królewskiego tronu. Dwie nawy zajęte są przez wielkich dygnitarzy cywilnych i wojskowych. Przy każdej kolumnie stoi tyłem o nią oparty gwardzista królewski w długim czerwonym płaszczu, w białym turbanie ustrojonym małpią sierścią, w białych szarawarach, w czarnej bluzie z czerwonemi wyłogami; wszyscy uzbrojeni są w strzelby.

«Mteza zasiada na tronie, który jest krzesłem drewnianem w kształcie zwykłego biurowego fotelu; nogi jego spoczywają na poduszce, pod wszystkiem zaś podesłano lamparcią skórę, rozłożoną na smyrneńskim dywanie. Przed królem, dla parady, położony jest kieł słonia wybornie wypolerowany, a przy jego nogach znajdują się dwa pudełka zawierające *fetisze*. Z każdej strony tronu spostrzegać się dają dwie lance (jedna z nich spiżowa a druga żelazna), podtrzymywane przez gwardzistów; są to atrybuty państwa Ganda. Dawniej miał być jeszcze pies, o którym wspomina «Speke», lecz go już nie ma. U nóg króla siedzą pochyleni: wezyr i dwóch pisarzy.

«Mteza ma wiele godności w postawie i pewną naturalną dystynkcyą; ubiór jego jest wytworny: biały kaftan z czerwonemi wyłogami, pończochy, papucie i kamizelka z czarnego sukna haftowane złotem, tarbusza zakończona u wierzchu srebrną blachą. U boku ma pałasz z rękojeścią ze słoniowej kości inkrustowaną srebrem (jestto broń Zanzibarska) i laskę.

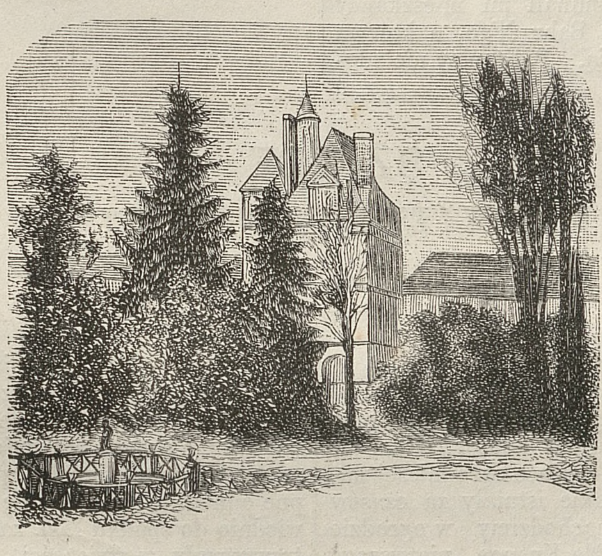


Fig. 11. Ogród Dyany w Fontainebleau.

«Składam królowi przywiezione dla niego podarunki, na które Mteza zdaje się nie zwracać uwagi, godność jego bowiem nie dozwala mu być ciekawym.

«Zwracam się do cudzoziemca siedzącego naprzeciw mnie, po lewicy króla.

— Czy mam zaszczyt mówić z p. Kameron?

— Nie panie; jestem Stanley.

— Jestem Linant de Bellefonds, członek ekspedycyi pułkownika Gordon'a.

«Kłaniamy się sobie z największą powagą, jak gdybyśmy byli w zwyczajnym salonie. Rozmowa nasza na tem się urywa.

«Spotkanie z p. Stanley zdziwiło mnie niepomału. Nie myślałem wcale o panu Stanley'u, nie mając najmniejszej wiadomości o przesięwziętej przez niego wyprawie.

«Żegnam się z królem, który przez cały czas posłuchania zabawiał się wyłącznie mustrowaniem moich żołnierzy, i nieustannie kazał grać na trąbach. Ściskam rękę p. Stanley'a i proszę go do siebie na obiad.

«Ledwie zdążyłem powrócić do kwatery, przybył tu już p. Stanley. Wynurzyliśmy sobie wzajemną radość z tego spotkania; dowiaduję się od niego że Kameron pisał z «Ujżiżi» iż wybrał się do Kongo. P. Kamerom był w wielkim podobno kłopocie z powodu braku pieniędzy, albowiem wyczerpnął był zupełnie udzielone mu przez towarzystwo geograficzne kredyty.

«W Ujżiżi miał potracić wszystkich swych towarzyszy, — i dziś został się sam jeden. P. Stanley nie szczędzi pochwał dla Kamerona i ma nadzieję że jego wyprawa się uda.

«P. Stanley podróżuje kosztem «Nev-York Herald'a» i «Daily Telegraph'u»; wyjechał on z Zanzibaru przed czterema miesiącami w celu poszukiwań na jeziorze Wiktorya. Przedostał się aż do kraju Masai i odkrył istnienie znacznego prądu wód wpadających do jeziora od strony zachodu. Pozostawiwszy w Uzuwiuma całą swą ekspedycyę, Stanley z dziesięcioma tylko ludźmi wsiadł na maleńki statek, który zabrał z sobą na jezioro Wiktorya; bada dziś całą zachodnią część jeziora, zapuszczając się we wszystkie jego zatoki i przystanie, odkrywając nieznane wyspy i przylądki. Widziałem zbiór prac Stanley'a; jest znakomity. Pokazywał mi bardzo ciekawe szkice wysp które poodkrywał: wyspę Mostu, wyspę Groty i wyspę Sfinksa. Pierwsza jest naturalnym granitowym mostem, mającym pozór mostu zbudowanego ręką ludzką; druga podobna jest do czarodziejskiej groty nimfy Kalipso; trzecia przedstawia obraz egipskiego Sfinksa.

«Przegawędziliśmy do 11 w nocy. P. Stanley jest doskonałym typem podróżnika, wesoły *gentleman*, dobry kolezka, cierpliwy, gotów na wszystko. Znalazłem prawdziwą przyjemność w jego nauczającej a urozmaiconej rozmowie. Wiele podróżował, wiele widział, zna cały świat.

«Od czterech miesięcy nie słyszałem już ani słowa wymówionego po francuzku. Jakąż była moja radość, słyszeć tym językiem mówiącego Stanley'a! **Wyraża się**

on nie zupełnie poprawnie po francuzku, ale dostatecznie aby dać zrozumieć każdą myśl swoją.

«Spotkanie w środkowej Afryce białego człowieka, równa się ze spotkaniu rodaka; a cóż dopiero gdy tym człowiekiem jest znany uczony i wyborny towarzysz! Radość jakiej wówczas doznajemy, jest nie do opisania.

«Powiada mi Stanley, że Mteza niezmiernie dumnym jest z tego iż ludzie biali naznaczają sobie spotkania w jego królestwie; nie wierzy bowiem w ich przypadkowość».

«*Wtorek d. 13 kwietnia.* Byłem na śniadaniu u p. Stanley'a. Rozmawialiśmy długo, rozciągnięci na słomie, paląc cygara i popijając herbatę. Szczęśliwe chwile! błysłyście mi jak cudowny meteor, a znikły tak szybko jak gwiazda spadająca! Każdy z nas odnajdywał w drugim brata i wynurzał się przed nim. Stanley opowiadał mi swoje trudy oraz przeszkody jakie nieraz pokonywać musiał. Niechęć z jaką spotykały go niektóre plemiona, które aż podbojem trzeba było zmuszać do uległości. Udzielił mi też drogocennych i ciekawych wiadomości geograficznych. Oprócz rzeczywistego istnienia wielkiej rzeki «Szymio», o której wspominali mi mieszkańcy Ganda, inne wody, a mianowicie Bahr N'go, o którym mówi podróżnik Speke, nie istnieją. P. Stanley nie zdołał powziąść żadnej wiadomości o tem jeziorze. «Uwiuma» jest rzeczywiście wyspą, ale Stanley zaprzecza istnieniu znacznego prądu wodnego, mającego wychodzić z jeziora w kierunku północnym, aż za obręb ramienia Nilu.

«Zrobiłem tu p. Stanley'owi uwagę, iż mnie upewniano wszelako o istnieniu tego prądu.

«Long utrzymuje że widział na północ od Soga olbrzymie jezioro, które zlewało się z wodami tej rzeki; co do mnie, podejrzywam istnienie kanału wychodzącego z jeziora na północ od Uwiuma i tworzącego olbrzymie bagna; być nawet może, iż Sobat którego wody są te same co i wody rzeki Białej, bierze początek z tych bagien—Sobat w takim razie nie byłby niczem innem, tylko poprzecznym kanałem Nilu, i toczyłby te same wody co Bahr-Saraf; a jeżeli Long powiedział prawdę, to Nil czerpałby swe źródła w dwóch punktach jeziora.

«Udzieliłem p. Stanley wskazówek danych przez Amfina w przedmiocie ujścia Somerset'a do jeziora Albert. Jeśliby to było prawdą, Baker się myli, a nawet sam Livingstone był w błędzie, szukając źródeł Nilu w jeziorach leżących poniżej Tanganika.

(C. d. n.)

SZKICE
Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

Chiny i Meksyk.

W średnich wiekach Chiny zachowywały tradycyę ogrodów nieforemnych. Znanym jest konserwatyzm tego narodu, który też nie pozwolił sztuce ogrodniczej postąpić na krok dalej. Parki jakie istniały za czasów Wen-Wanga i Szi-Hoang-Ti, znachodzimy w ogrodzie Letniego Pałacu. Ogrody Sse-Ma-Kuanga, pierwszego ministra dynastyi Song, których tu podajemy opis, też same przechowały cechy.

«Niech inni, mawiał on, budują sobie pałace, aby w nich ukryć swe troski i popisać się z próżnością;—co do mnie, wybrałem samotnię dla własnej przyjemności i rozmowy z przyjaciołmi. Dwadzieścia morgów gruntu do tego wystarczyło. W środku jest wielka biblioteka, w której zgromadziłem pięć tysięcy tomów dla czerpania z nich światła i obcowania ze starożytną cywilizacyą.» Od strony południowej siedziby Sse-Ma-Kuanga, mieścił się salon wpośród wód zasilanych przez strumyk spływający z wzgórz zachodnich. Wody te tworzyły głęboką sadzawkę, z której rozchodziło się pięć odnóg niby pięć pazurów lamparta, a niezliczone stada łabędzi pływały po tafli wodnej, igrając z sobą swobodnie.

Na brzegu pierwszej odnogi, której wody przerzucały się z jednego wodospadu w drugi, wznosiła się stroma skała, na której najwyższem urwisku stoczysto załamanem, jak trąba słonia, zbudowaną była przezroczysta altanka, dla wypoczynku i widoku na rubinami palący się wschód słońca.

Druga odnoga w pewnej odległości od pierwszej dzieliła się na dwa kanały, które wiły się wężowato około jednej galeryi, podwójnym opasanej tarasem, przystrojonym w festony kwiatów. Galeryę otaczała palisada z róż i granatów tworzących balkon. Kanał zachodni zaginał się w łuk, formując wysepkę ku północy odosobnionego portyku. Pobrzeża tej wysepki pokrywał piasek, muszle i różnobarwne kamienie, a w części przyozdabiały je drzewa wieczyście zielone. Drugi kanał ożywiała słomiana strzecha rybacka i trzcina. Dwie następne odnogi to zbliżały się ku sobie, to oddalały, odpowiednio do spadku łąki, zahaftowanej kwiatami, którą utrzymywały w świeżości. Niekiedy odnogi te występowały ze swego łożyska, wytwarzając tafle wodne okolone malowniczym trawnikiem. Dalej porzucając poziom łąki, odnogi spływały do wązkich kanałów, w które wpadając woda, ginęła w labiryncie skał stawiających zaporę jej prądowi — i spieniona srebrzystą falą staczała się z szumem w kręte łożysko, wyznaczone jej między skałami. Wszędzie, na stokach wzgórzy i w parowach, rozrzucono pawilony wśród gajów gęsto zarosłych bambusami. Tu kwatery kwiatowe osłonięte starożytnemi cedrami — tam wierzby płaczące — dalej zagaje górskie, w których króliki niemało niepokoją ryby przebywające w stawach sąsiednich. Wyspy trzciną zarosłe, mosty różnokształtne, z wszelakiego materyału budowane—na wodach przepyszne lotusy—na drzewach świegotliwe różnobarwne ptastwo, pola uprawione starannie, a w dali góry lazurowe — oto czary tej miejscowości. Sse-Ma-Kuang oceniał obrazy natury równie jak Rousseau. Szmer wód, szelest liści poruszanych wiatrem, błękit niebios pobudzający do marzeń, cała przyroda przemawiała do jego duszy.

Parki Azteków i Tolteków są godne wspomnienia, nawet po chińskich. Z rozmaitością perspektywy łączono w nich przepych, na którym prawie zawsze zbywało pomysłom mieszkańców państwa niebieskiego. W licznych siedzibach wiejskich Netzahualcogotl'a (Lisa dzikiego), władcy Tezcuco, poety i prawodawcy, urodzone-

go w 1402, zmarłego w 1462 roku, którego panowanie było wiekiem złotym cywilizacyi Azteków, znachodzimy jakby ślady wieżyc i wiszących ogrodów Babilonu. Jakkolwiek język Meksykanów nie jest dotąd jeszcze uporządkowanym, dzieła ich przecież artystyczne odsłaniają nam pokrewieństwo tego ludu z rasami azyatyckiemi.

Pięćset dwadzieścia schodów porfirowych, wypolerowanych jak zwierciadło, zdobiło stok wzgórza Tezcotzinco, o dwie mile francuzkie odległego od Tezcuco, a liczne tarasy łączyły z sobą te dwie miejscowości. Długi wodociąg, przechodząc przez dolinę, zapełniał wodą obszerny zbiornik wieńczący górę—w pośród sadzawki, ogromna skała z wyrytemi na niej hieroglifami, opowiadała dzieje Netzahualcogotl'a. Inne sadzawki, przyozdobione w symboliczne pomniki miast, zasilały w wodę kanały i wodospady. Nad jedną z nich piętrzył się lew skrzydlaty, wykuty w skale z obliczem przedstawiającem rysy twarzy tego mocarza. Portyki i pawilony marmurowe otaczały sadzawki wyżłobione w porfirze, które nieświadomi krajowcy nazywają dotąd wannami Montezumy. U stóp pagórka, z pośród cedrowego lasu, ożywiającego piersi balsamiczną wonią sąsiednich kwater kwiatowych, wychylały się dachy i wytworne arkady miasta królewskiego.

W szesnastym wieku przepych tych odległych krain uderzał wyobraźnię Europejczyków. Montaigne kreśli nam ich obrazy nieustępujące czarującym powieściom wschodnim.

«Nieporównaną jest, powiada ten pisarz, wspaniałość miast Cuzco i Meksyku, a zwłaszcza też ogrodu króla Meksyku, nie licząc wielu innych cudów sztuki. Wszelkie w nim drzewa, owoce i rośliny, uporządkowane odpowiednio do ich gatunków i wielkości, wyrobione są przedziwnie ze złota, równie jak wszelkie zwierzęta rodzące się w jego państwie i morzach, przechowywane w muzeum. Piękność roboty w drogich kamieniach i malowidłach, w wyrobach z piór i bawełny okazuje, że Meksykanie nie ustępują nam bynajmniej i w przemyśle.»

Cuda te znikły —budziły one jeszcze podziw i uwielbienie Padilli i Piotra męczennika—dziś ledwie kilka cedrów przeżyło grabieże zdobywców. Meksyk posiada niemniej rozkoszne labirynty, których wodotryski wyrzucały na kwiaty wodę różaną. Dziesięć rozległych stawów, ryb pełnych, sprowadzały na ich tafle stada kurek wodnych, a na ich pobrzeża czaple. Rodzaj mozajki marmurowej opasywał dokoła te stawy, w których przeglądały się lekkie i fantastyczne pawilony, przezroczyste, zapełnione wonią kwiecia i chroniące władców i ich żony od upałów lata.

Najwytworniejszą siedzibą Montezumy, był królewski pagórek *Szapoltepek*, uświęcony pobytem jego przodków. Na około podstawy wzgórza, na brzegach jeziora Tezcuco, ogrody zajmowały przestrzeń czterech mil. Z tą prześliczną rezydencyą i jej czarownemi wodami, myśl wiąże niewątpliwie losy nieszczęśliwego Guatimozina, któremu jęki towarzysza wyrwały z ust te słynne słowa: «Ażaliż ja spoczywam na różach?»

W połowie ostatniego wieku istniała jeszcze w tem miejscu płaskorzeźba porfirowa, której robotę Gama podziwiał. Tam gdzie krzewiły się kwatery kwiatowe, wspaniałe cyprysy wznoszą w niebo olbrzymie swe trzony, pięćdziesiąt stóp mające obwodu. Na grzbiecie góry piętrzy się okazały i spustoszony zamek, zbudowany w końcu siedmnastego stulecia, przez młodego vice króla Galveza. W skutek dziwnej igraszki losu, Szapoltepek za dni naszych odzyskał chwilowo stanowisko miasta cesarskiego.

Do ornamentacyjnych pomników Meksyku, należały bezwątpienia ogrody, pływające po jego jeziorach. Wieść niesie że w czternastym wieku, Meksykanie, złamani wielu wojennemi klęskami, zachowawszy jedynie miasto i jezioro je otaczające, zbudowali na niem na tratwach sztuczną rolę i zbierali z niej kukurydzę i owoce. Z powrotem pomyślnych losów, sztuczne ich wysepki stały się ogrodami przechadzkowemi. Diodor Sycylijski wspomina o podobnych ogrodach na stawach Arabii zakładanych, gdzie uprawiano wino. W Kaszmirze istnieje mnóstwo takich ogrodów pływających, utwierdzonych w łożysku wodnem za pomocą palów.

Ogrody z epoki Odrodzenia.

Epoka odrodzenia jest córą tradycyi starożytnej, jest potężnym zwrotem do sztuki greko-romańskiej, który po upływie tysiąca lat odniósł tryumf nad przygniatającem ją barbarzyństwem. Ztąd też w ogrodach z szesnastego wieku znachodzimy wielkie przymioty i małe usterki wiejskich siedzib Pliniusza lub Adryana. Z jednej strony, napotykamy w nich wybitną symetryę linij, architekturę łączącą się nieustannie z roślinnością, zręczne zastosowanie natury do sztuki — z drugiej zaś dziwadła wyobraźni: altany i mury wytworzone z drzew strojnych zielenią, rysunki lub głoski wyrażające nazwy ułożone z bukszpanów, nieprzyjemne niespodzianki wodotrysków ukrytych przed wzrokiem, i zbytek w skażonym smaku, występujący pod najrozmaitszą postacią, który wszakże zatartym zostaje wdziękiem szczegółów i harmonią całości. Chcąc mieć wyobrażenie o tych osobliwościach, w których znajdowano naówczas upodobanie, potrzeba odczytać broszurę Bernarda Palissy zatytułowaną *Zachwycający ogród.* Znajdujemy tam opis altan uwieńczonych tarasami, na których krzewiła się wszelkich gatunków roślinność — ścian z wizerunkami płazów jakby żywych, wyrobionych z emalii różnokolorowej — grup topoli, których spojone z sobą wierzchołki zaopatrzone były w lej, przeznaczony do wprowadzania powietrza w rozmaite piszczałki — wysepek przyodzianych siatką drucianą, osłoniętą liśćmi drzew i stanowiącą ptaszarnię. Irrygacya odbywała się tu za pomocą wężownic bzowych, czyli rur opartych na prętach widełkowatych, o dwie lub trzy stopy wzniesionych nad poziom, które to rury opatrzone niezliczonemi maleńkiemi otworami, za nadanym ruchem, wyrzucały wodę w deszczu pyłkowym. Chociaż Bernard Palissy potępia matnie jakich staje się ofiarą przechodzień, wpadając w sadzawkę lub strumień, i sprężyny, za naciskiem których potok wody oblewa jego nogi, to natomiast znajduje wielce przyjemnemi nimfy marmurowe, które z amfor wylewają wodę na głowę ciekawca, i to w tej chwili, gdy ten zachwyca się jakim morałem Salomona, wypisanym na piedestale pomników.

Większa część ślicznych ogrodów włoskich, zawdzięcza naturze najwspanialszy swój powab: widok. Zwykle są one oparte o wzgórze lub górę. Czy to piętrzy się nad nią zamek,czy kryje się u jej podnóża, zawsze ogród posiada tarasy, wysokie wschody i wodospady nadające mu ruch i życie. Spadek alei skośnych lub krętych, nie mniej tu potrzebny, gdyż znosi jednostajność, tak słusznie zarzucaną francuzkim klasycznym ogrodom. Ogród Boboli, we Florencyi, jest jednym z najczystszych wzorów budownictwa roślinnego, które godząc z sobą wymagania smaku i wyobraźni, zadowalają najzupełniej wzrok i umysł.

Grunt ogrodu Boboli dzieli się na dwie odrębne od siebie części. Nizina ciągnąca się aż do muru, obejmuje gęste trawniki otoczone cienistemi alejami, i wody zebrane w niewielkich jeziorach. Wzgórze zaś piętrząc się naprost pałacu nad którym panuje, ozdobionem jest królewskiemi tarasami o długim rzędzie to cyprysów i jodeł, to posągów i wazonów marmurowych.

Z wyżyny tej przedstawia się wspaniały widok na panoramę Florencyi. Na pierwszym planie, wyraziste barwy pałacu Pitti odrzynają się od jasnych tonów głębi. Pomiędzy tarasami a pałacem, rozległy plac zwany amfiteatrem, ozdobiony jest obeliskiem egipskim, ztąd biegnie okazała aleja wiodąca na wzgórza. Z prawej strony rozpościerają się gaje i trawniki, a nieco dalej w końcu alei, gdzie drzewa krzyżują się naprzemian z posągami, wchodzi się na maleńką owalną wyspę, zdobną prześlicznym wodotryskiem. Wzbudza tu podziw kolosalny posąg oceanu z trzema rzekami podpierającemi jego piedestał. Grupa ta poczytywaną jest za arcydzieło Jana z Bolonii. Z pośród wielu robót snycerskich, po większej części miernego dłuta, wyróżniają się figury Bandinelli'ego i szkice Michała Anioła, pomieszczone w grocie niezbyt odległej od pałacu.

(C. d. n).

KILKA SŁÓW O DRZEWIE I OPALE.

Gdzież stosowniej niż przy *ognisku* pogwarzyć o paliwie z gosposią, która strzeże domowego ogniska, z gospodarzem, który stara się o opał i z dziatwą, która, aby jej drzewa na ognisko nigdy nie zabrakło, powinna od młodu uczyć się je hodować i oszczędzać. W dziedzinie gospodarstwa społecznego naszego kraju drzewo należy do najważniejszych spraw żywotnych, jako główny materyał opałowy. Gdy bowiem węgiel kamienny i torf nie wszędzie się znajduje i dowieziony być może a wyczerpaniu ulega, to drzewo wiecznie odrasta tam, gdzie je zahodujemy.

Las więc jest przyrodzoną i pospolitą u nas skarbnicą paliwa. Lecz aby skarbnica ta była wieczystą, nie trzeba z niej nigdy w ciągu roku więcej wyczerpać nad to, co jednoroczny przyrost lasu dać może. Ten stosunek przyrostu drzewa do siekiery, czyli przybytku do ubytku, stał się podwaliną gospodarstwa leśnego czyli porębowego. O rodzajach takiego gospodarstwa nie będziemy się tu rozpisywać, gdyż przedmiot ten należy do oddzielnej nauki leśnictwa. W ogóle tylko powiemy, że każdy las podzielony na tyle części czyli porębów, ile lat potrzeba do wzrostu i dojrzałości gatunku drzewa w nim rosnącego, zabezpieczonym jest na zawsze, jeżeli co roku tylko jeden z takich porębów wytniemy i urządzimy w tem miejscu zagajnik.

O ile gospodarstwo takie jest konieczne w każdym lesie, nie potrzebujemy tego dowodzić. Bez niego las jest obrazem albo nieładu i wyczerpania, albo pierwotnej dzikości i nie procentującego prawidłowo kapitału. Doświadczenienie przekonało, że aby zabezpieczyć lasy przed lekkomyślnością, nierządem i spekulacyą jednostek, nawet w społeczeństwach najgospodarniejszych w świecie, potrzeba pewnych ogólnych przymusowych w tej mierze przepisów. I tak np. w Niemczech, gdzie poszanowanie własności i ekonomię narodową posunięto niedawnemi czasy do ideału, widzimy jednak obowiązujące ogół posiadaczy nader surowe przepisy leśne. W Austryi kary za nieobsianie własnych porębów i zniszczenie zagajników, liczą się na tysiące złotych reńskich.

Dowiedzionem jest także, iż wszelkie ciążące na lasach służebności opału i pastewnika są dla przyszłości lasów nader szkodliwe. Gdy bowiem wielu ma prawo do wspólnego użytkowania z lasu, to każdy stara się jak najwięcej z niego korzystać, a nikt nie myśli o konserwacyi przedmiotu, który nie jest jego wyłączną własnością. Niepowetowane straty pociąga za sobą pasanie dobytku w zagajnikach, bo ten zjada latorośle i pożera razem z trawą wszystkie wschodzące przyszłe drzewa.

Do zabezpieczenia więc przyszłości od braku budulcu i opału potrzeba w każdym kraju żeby: 1) gospodarstwo leśne było przymusowe, 2) żeby na przestrzeniach lasów nie istniały żadne służebności i 3) żeby społeczeństwo było gospodarnem w używaniu paliwa. Gdzie te trzy warunki są wykonane, tam nie ma potrzeby obawiać się o rzeczy tak dotkliwe w surowym klimacie, jak np. brak w zimie ciepłego pieca i talerza gorącego rosołu. Tam wyśmiane dziś przysłowie prostaczków «nie było nas—był las; *nie będzie nas—będzie las*», staje się godłem przewodniej myśli licznych pokoleń, związanych zacną tradycyą gospodarności. Aby to nastąpiło, potrzeba wejrzeć w liczne zwyczaje nasze, dotyczące obejścia się z drzewem i roztrząsnąć ich dobre lub naganne strony.

Najprzód więc do tych szkodliwych zabytków z czasów w których drzewo nie miało żadnej ceny i kiedy nie znano obliczania miąższości na kubiki, należy używanie siekiery zamiast piły przy ścinaniu, układaniu w sążnie i przerąbywaniu kloców na opał. Dalej, wysokie ścinanie nad ziemią i pozostawianie w lesie karp na zgnicie. Siekiera tylko do szczepania drzewa używana być powinna. Przerąbywanie zapomocą niej kloców, nietylko przynosi stratę czasu tak drogiego przy braku rąk pracowitych, ale jest karygodnem trwonieniem znakomitej ilości drzewa na drobne wióry, przeznaczone na zgnicie w lesie lub innych miejscach. Każda dłuższa sztuka przecinana piłą daje o jeden sążniowy klocek więcej, niż przerąbywana siekierą, a na 8—10 sążniach kubicznych drzewa przybywa jeden w dodatku, co na większej ilości stanowi znaczną rubrykę. Nadto przy piłowaniu staje się możliwą dokładna miara szczap i ułożonych sążni, co jest rzeczą ważną tak dla sprzedającego jak dla kupca. Gdy zaś sążnie są rąbane siekierą, to przeciętna miara długości szczap nie może być należycie dokładna, zkąd wynikają nieraz kwestye w przyjęciu sążni, na czem zwykle gorzej wychodzi sprzedawca. Gdybyśmy byli w stanie obliczyć ogólną wartość straconego drzewa w skutek dość jeszcze powszechnego tu i owdzie użytku siekiery zamiast piły, to wypadłaby niezawodnie wcale pokaźna summa w stosunku do naszego społecznego ubóstwa.

Oszczędności w wydzielaniu paliwa domownikom i czeladzi sądzimy iż nikt rozsądny nie weźmie za jedno ze skąpstwem, lecz za praktyczne wyliczenie potrzebnej na dzień ilości opału do kuchni i pieców, a na miesiąc lub rok dla rodziny oficyalisty albo parobka. Jeżeli ordynaryę mierzy się korcem i garncem, to dla czegóż drzewo pozbawione ma być miary; drzewo, które równie jak ziarno jest towarem i pieniądzem, a w swoim rodzaju o tyle cenniejszym, że nie odrasta i nie dojrzewa jak zboże w ciągu roku. Gdzie nie ma zwyczaju wydzielania czeladzi opału, tam ona zużywa go ilość nieraz podwójną nad potrzebę, boć dla samego zwyczaju i oświetlenia izby, cały długi zimowy poranek i wieczór goreje stos na jej kominie, jak za owych czasów, kiedy wycinanie i karczunek dziewiczych borów był miarą postępu i kultury rolniczej. Tylko praktyczny wymiar paliwa może nauczyć naszych ludzi oszczędności w jego użyciu. Wymiar taki widzieliśmy w Prusiech, gdzie np. trzy kubiczne sążnie dobrego torfu wystarczają dla rodziny parobka na rok cały. W pewnych dobrach w Grodzieńskiem widzieliśmy znowu odpowiedni wymiar drzewa. Nie potrzebu-

jemy tu dodawać, że na objętość opału potrzebnego rocznie na jedno ognisko, wpływa znamienicie gatunek drzewa i stopień jego wysuszenia. Drzewa mokrego wychodzi najmniej dwa razy tyle co suchego, słaby bowiem płomień trzeba nagrodzić większą objętością paliwa i dłuższym czasem ogrzewania, a i dłuższe zajęcie pociąga za sobą stratę czasu roboczego. To też jest nader złym zwyczajem zwożenie na dziedziniec świeżo ściętego w lesie drzewa, z pozostawieniem klocków na deszczu i rąbaniem onych po kawałku w miarę potrzeby. Już to każde drzewo bądź porządkowe, bądź narąbane do kuchni i pieców a zostające bez dachu i zamknięcia, robi dla dobrego gospodarza wrażenie zboża lub dobytku pozostawionego na noc wśród drogi. Dość często napotykane dziś w tym rodzaju niedbalstwo, nie jest przecież zabytkiem dawnych czasów. Wszak np. starzy wieśniacy pamiętają ów powszechny niegdyś we dworach i dworkach zwyczaj, przygotowywania pod dachem na całą zimę znacznej ilości smolnego łuczywa z karp starych sosen, celem oświetlania w długie wieczory i poranki kuchen i izb czeladnich, tudzież do szybkiego i łatwego rozpalenia ognia.

Lud nasz tam tylko oszczędza paliwa, gdzie albo sam je kupuje, albo własny las posiada. Takich jednak wiosek jest niewiele. W ogólności zaś, posiadając służebność opału w dworskich lasach, zużywa go dwukrotną ilość nad potrzebę. Przyczyniają się do tego kuchnie i kominy starego systemu (bez blach), na których przy jednym garnku strawy można w ciągu dnia spalić czwartą część fury mokrego drzewa a wcale nie ogrzać mieszkania. Pospolicie więc pali się na kominie i w piecu. Jeżeli zważymy, że Królestwo Polskie posiada około 400,000 ognisk wiejskich, z których w najlepszym razie tylko czwarta część jako tako oszczędza paliwa, to przekonamy się, że reszta (300,000) nieznająca oszczędności, marnuje każdodziennie, zwłaszcza w czasie zimy, za kilkadziesiąt tysięcy złp. opału, co wynosi w każdym roku *kilkanaście milionów* puszczonych z dymem na marne.

Jeżeli już od lat kilkudziesięciu przepisy policyjne nie dozwalają wznoszenia innych kominów czyli dymników, jak murowane z cegły, jeżeli zabraniają suszenia w piecach chlebowych lnu, zatykania kominów słomą i t. p. celem bezpieczeństwa od ognia, to niech nam wolno będzie rzucić pytanie, dla czegoby nie można pomyśleć o jakich dobrych przepisach w budowie kuchen w chatach wiejskich nowo wznoszonych? Widzieliśmy np. u kmieci pod Krakowem, jak gosposia na tak zwanym *cyganku* kilkoma funtami węgla kamiennego obiad gotuje i ogrzewa mieszkanie w zimie. Niejeden z naszych wieśniaków chętnie zaprowadziłby coś podobnego, gdyby miał wzór i czuł potrzebę oszczędności drzewa.

Zniesienie staropolskich kominków pokojowych nie jest wedle nas symbolem dobrze zrozumianej oszczędności paliwa. Kominek na wsi cichej i samotnej, jest w zimie koniecznym warunkiem uprzyjemnienia *szarej godziny*. Miasto ma tysiące innych przyjemności, których nie posiada wiejskie ustronie w porze śniegu i mrozu. Przyjemności te w porównaniu z kominkiem, są tam dla każdego stokroć kosztowniejsze. Czyż człowiek z czystem sumieniem, który pracowicie dzień przepędził i wszystkim obowiązkom jednostki społecznej zadosyć uczynił, nie wart jest tak bagatelnej przyjemności, jak odpoczynek w czasie szarej godziny wśród grona dziatwy, przy mile oświetlającem wiejską komnatkę ognisku? W życiu człowieka pracowitego i pracowitej rodziny, nieodzowną jest codzień pewna chwila, godzina, pół godziny bezwzględnego wypoczynku, popuszczenia w kółku rodzinnem wodzy myślom, wspomnieniom i opowiadaniom starszych. Latem chwila ta po zachodzie słońca znajduje ulubione siedlisko przed domem, w ganku, pod sędziwemi lipami, na ławach z szerokich bierwion lub głazów polnych, przy świetle srebrnych gwiazd i miesiąca. W zimie jest nią szara godzina przy kominku, a w chwili tej uosabia się święte znaczenie *ogniska domowego* pod względem psychologicznym, społecznym i symbolicznym czyli przenośnym.

Próżniacy nie umieją ocenić znaczenia i przyjemności chwili takiej przy domowem ognisku, a rodziny pracowite, niemogące lub nieumiejące znaleźć na nią czasu, podobne są do porządnej maszynki, którą zowiemy zegarkiem. Zagaszenie ognia kominkowego w wiejskim dworze przez wrzekomą oszczędność, każe wnosić albo o skąpstwie gospodarstwa, albo o wyniszczeniu zupełnem lasu, albo o nieumiejętności zapracowania i zahodowania drzewa, a najczęściej towarzyszy brakowi wszelkiej kontroli opału, zużywanego bez miary przez czeladź.

A teraz porzuciwszy rzeczywistość obecną, niech mi wolno będzie zrobić małą wycieczkę w krainę ekonomicznych marzeń, w krainę która czytelnikowi wydać się może urojoną a i mnie wydaje się bardzo jeszcze daleką, ale prawdopodobną. Oto, gdym zwiedzając różne strony kraju widział okolice piaszczyste, gdzie liche żyto, tatarka i ziemniaki zaledwo mogą koszt uprawy opłacić i nie zawsze wyżywiają rolnika, tudzież inne, gdzie najpiękniejsza pszenna gleba drzemie pod szumem borów i kobiercem mchu leśnego, uderzyła mnie ta szkodliwa niestosowność, której naprawą powinno się zająć gospodarstwo społeczne przyszłych wieków. Piaszczyste obszary czyż nie powinny być przez swoich właścicieli całkowicie zasiane sosną, lubiącą grunt tego rodzaju i wyrastającą na nim w niebotyczne maszty, a na żyznej glebie czyż nie powinny wszędzie powiewać pszenice i inne szlachetne ziarno? Posiadacz boru na piaskach, odniósłby znacznie większą korzyść z gospodarstwa leśnego niż rolnego, tak samo jak rolnik z owoców pługa na wykarczowanym pszennym zagonie. Pierwszy posiadałby obfite środki do nabycia chleba, równie jak drugi do kupienia paliwa. Przy dobrych komunikacyach wodnych i kolejowych nic łatwiejszego i tańszego nad dostawę drzewa z puszcz w zapola i nawzajem mąki mieszkańcom lasów. Produkcya ogólna wzrosłaby, a wszystko przy dobrej woli jednostek i ekonomicznem pojęciu rzeczy, mogłoby nastąpić zwolna, bez żadnych szkodliwych przewrotów, przymusów i strat materyalnych.

Nie potrzebujemy tu dodawać, że do znacznie bliższej przyszłości w naszym kraju, bo do rzeczy praktykujących się już oddawna gdzieindziej a wyjątkowo i u nas, należy obsadzanie dróg i miedz drzewami owocowemi, np. wiśniami, lubiącemi grunt piaskowy, a brzegów rzek, strumieni i łąk, wierzbą, dającą najwięcej gałęzi na opał.

Zygmunt Gloger.

U OGNISKA.

III.

Bajarze, zwani felietonistami, w nader trudnem są nieraz położeniu, kiedy siadają do stołu aby rozpocząć gawędę. Przed oczami ich majaczeją tłumne szeregi faktów, jak sosny i świerki w lesie, w zimowym krajobrazie, na białem tle śniegu. Najbliższe z nich, na pierwszym

planie myśli, rysują się ostremi, czarnemi konturami. Następne drzewa już szarzeją w oku, a dalsze, przesłonięte, niknące,—jak mgła gdzieś przepadają w oddaleniach mózgowej perspektywy. Dla tego właśnie że liczne, chaotycznym swym widokiem budzą zamięszanie w umyśle. Człowiek sam siebie pyta się:—co się z tego wszystkiego wybierze i co da zmieścić w felieton?

Wszystko;—i wszystko w napisaniu wyjdzie w tym pierwszym ogólnym pomyśle, podobnym do onego ciemno zielonego lasu ubielonego śniegiem, o którym wspomnieliśmy. Pierwsze fakta wyskoczą naprzód obszernie, jasno, wydatnie, krzycząco, w czarnym, mocno zarysowanym konturze, reszta powlecze się za przewodniczącemi.... coraz mgliściej, coraz bezbarwniej.... ot! jak owe, niknące w perspektywie leśnej drzewa. Pewno że ten sposób produkowania nie jest ani dobry, ani właściwy, ani artystyczny.... ale.... nosi on na sobie charakter epoki. Wytwarza.... większą głowę od reszty ciała... jak u dzieci... chorych na wodę w mózgu!... Z tego też powodu wszyscy z kolei, wielcy i mali, próżni i pokorni, milczący i gadatliwi, podobni jesteśmy równie w życiu codziennem, jak i w pracach naszych, do owych *potworków*,.. skazanych na śmierć przedwczesną.... albo.... na smutniejsze obłąkanie. My dźwigamy moralnie, a materyalnie nasze artykuły i nasze utwory piśmiennicze na wątłych nóżkach dźwigają karykaturalnie wielką głowę, w jaką humorystyczni rysownicy stroją swoje... satyrycznie odtworzone... modele.

Cóż robić—przyszedł czas na głowę jak kiedyś był na serce.... i lepiej teraz. Przewaga głowy.... nieostrożnych wali tylko z nóg czasem, na równej drodze; przewaga serca wywoływała palpitacye, zaduszenia, anewryzmy gwałtowne. Dziś zaledwie że tam człowiek skaleczy się lub... zbruka trochę;—dawniej....komedya uczuć, wrażeń i namiętności... kończyła się tragicznie. W którą stronę świata spojrzeć, wszędzie w przeszłości żałobne przykłady: Kamoens, Tasso, Klonowicz, Malczewski i.... ogromna litanja, którą pragnąc wyliczyć, chyba potrzeba by było rozgrzebać cały smutny cmentarz ofiar i nazwisk.

Ale wróćmy i my do głowy naszego artykułu,— nad którą zrobiliśmy z poprzednich wyrazów daszek czy kapelusz — zaczynając jak owi improwizowani artyści w salonie, którzy jednym pociągnięciem pióra lub ołówka rysują konia z jeźdźcem na grzbiecie.... i to, poczynając od końskiego.... kopyta.

Otóż oną głową konwersacyi dzisiejszej, ma być owa *godność słowa*, która wywołała zapęd polemiczny w najlepszym kierunku, bo w kierunku zasad i opinii, budząc ruch umysłów i ożywienie pisarskie, wychodzące zawsze prawie na dobre dla literatury i czytelników, ile razy nie roznamiętnia go prywata i osobisty interes. Niestety! Z żalem wyznać musimy, że czy to w skutek jakiegoś nerwowego rozstroju naszego społecznego organizmu, czy w skutek jakichś przyczyn zewnętrznych, dwie te wady, szkodzące sprawie, bo poniżające jej godność w oczach czytelników, nazbyt często spostrzegać się dają w polemicznych artykułach pism naszych. Przez to kwestya ta, w obecnem swojem stadyum, straciła, może po części słusznie, wierne dotychczas sympatye czytelników; jak zaś przedstawia się ona w swoim historycznym rozwoju, pozwólcie szanowni czytelnicy, że dzieje jej przepiszę z małego in-octavo,—znalezionego przezemnie u antykwaryusza na Nowowiniarskiej ulicy — i noszącego tytuł:

«Przygody Nowego-Gulliwera, żeglarza, który zwiedził przeróżne nieznane kraje, a co widział to głośno przed przyjaciółmi swemi opowiedział, gwoli nauczenia tych co spokojnie w domu za piecem siedzą.»

Tomików,—z którego właśnie parę kartek tu zacytować myślę — nosił na sobie rzymską cyfrę XIX, a jednak na ostatniej jego stronnicy, — wilgocią uillustrowanej w żółte plamy i przez mole stoczonej jak rzeszoto,— wyrazu *koniec* nie znalazłem... W środku zaś, natrafiłem na opis dwóch wysp i dwóch rodzai krajowców zamieszkujących je, który tak wiernie maluje pobudki jakie wywołały obecne polemiczne utarczki, że potrzebaby było chyba nie być felietonistą, aby nie skorzystać z nich, na wzór tylu plagiatorów... przeszłych i dzisiejszych.

Zaczynam. Strona 7, wiersz 14. Od ustępu.

«Kiedy okręt nasz wpłynął w szafirową cieśninę, pozostawiając za sobą ślad złota i ognia, — jak łodzie prujące fale neapolitańskiego golfu, pomiędzy Sorrento i wyspą Capri, w której to ostatniej skalistym i stromym brzegu, kryje się szczelina otwierająca przezwodne wejście do «lazurowej groty» — ujrzałem na prawo kawał lądu, nurzający się w modrem mórz zwierciedle, pokrytego szmaragdową zielenią łąk i pól, za któremi, w jasnych promieniach słońca, bieliło się bogate miasto, strzelające w pogodne i ciche niebiosa wysokiemi wieżycami, błyszczącemi się i świecącemi. Za grodem piętrzyły się rozkoszne wzgórza, pokryte gaikami i lasami. Na stokach ich, szumiące kaskady wpadały do błękitnawej rzeki, która, wązka u stóp pagórków, rozścielała się szeroko w dolinie, pomiędzy dojrzewającemi zbożami, rumieniącemi się owocem sadami, różną barwą jaskrawiącemi się ogrodami warzywnemi i kwietnemi, wpadając nakoniec do morza szerokiem ujściem, na powierzchni wód którego pływały wykwintne baciki, łódeczki, kaiki, — zdobne w purpurowe żagle i złocone wiosła. Słowem pejzaż cały był wesoły i ładny... niby obraz dobrobytu i bogactwa. Zapytałem sternika, który śledził wrażenia na mojej twarzy:

— Jak się zowie ta wyspa?

A on uśmiechnąwszy się odparł:

— «Wyspa szczęścia.» I wsparłszy się na rudlu dodał:

— Ale spojrzyj na lewo.

Ciekawie zwróciłem się w kierunku, w którym wzrok jego pobiegł, — a przed oczami memi roztoczył się dziwnie sprzeczny widok.

Wybrzeże ziemi, rozścielającej się na lewo cieśniny, podobne było do płaszczyzn nieurodzajnych «landami» zwanych. Lekko pochylone ku morzu, pokryte było kamieniami i skałami, z których pracowita dłoń mieszkańców poukładała niespojone wapnem mury, zagradzając niemi pewne niewielkie przestrzenie uprawnego gruntu. Mozolną musiała być ta uprawa i licho opłacała się pracownikom widocznie, karłowate bowiem tylko dostrzedz można było drzewa, chociaż gałęzie ich zdobił kwiat, cudną woń wydający. Woń ta dolatywała aż do nas na statku. Poiliśmy się nią wszyscy, równie podróżni jak i osada okrętowa.

— Są to «drzewa wyobraźni»; — mówił do mnie sternik — kto umie je szczepić, temu przedziwne owoce wydają.

Miałem już zapytanie na ustach, ale je wstrzymałem;—mniemałem bowiem zawsze, że wtedy dopiero dowiadywać się należy, kiedy sami już poznaliśmy dobrze to o co zapytać myślimy. Więc wpatrzyłem się w wyspę lewą, jakby magnes żądzy poznania przykuwał do niej moje władze umysłowe.

Z nieociosanego głazu pobudowane domki, stały niedaleko jeden od drugiego. W oknach i we drzwiach lub przed oknami i drzwiami, widać było ludzi o szlachetnych twarzach, myślących czołach, intelligentnych oczach. Każden był zajętym pracą, czy to w chacie, czy

w ogrodzie lub w polu, jeśli te krzemieniste, skalne nierówności dzikiego gruntu, można było nazwać polem lub ogrodem. Biednie byli odziani i lica ich wyglądały jak lica chorych leżących w szpitalach. Gorączka czerwieniła niektórym policzki;—ciemne zaś mizerności plamy, siniejące pod oczami, świadczyły, że nader wątłe ciała ukrywały w sobie jakieś namiętne i wzniosłe dusze. Każdy z nich, czy robił, czy marzył, czy myślał,—oparty na narzędziu pracy swej,—patrzył w głąb wyspy na górę jakąś olbrzymią, niekiedy ziejącą z krateru swego płomieniem i skrami, a niekiedy wierzchołek swój kryjącą w mgłach i chmurach.

Sternik śledził ciągle wrażenia na mojej twarzy i widząc kędy ciekawość oczy i myśli moje pognała, — szepnął:

— To *Parnas!*

Uczułem jakąś dziwną sympatyę w sercu dla tej przeklętej ziemi i tych ludzi w znoju i cierpieniu na niej żywot pędzących. Chociaż okręt nasz wolno posuwał się w cieśninie, pomiędzy temi dwoma tak różnemi i niepodobnemi do siebie wyspami, pomimo że z tego powodu miałem czas badać i badałem jedną to drugą okolicę, nie mogłem zdać sobie sprawy co jest powodem że są tak odmienne, a widząc że napróżno łamałbym głowę i nierozwiązałbym zagadki sam jeden, usiadłem na kręgu z powrozów i sznurów leżącym na pokładzie niedaleko tyłu statku, i zwracając się do sternika rzekłem:

— Opowiadajcie!

Jakby na to tylko czekał, sternik jął mówić:

— Ląd, co go widzisz na prawo, zwie się, jak już powiedziałem «wyspą szczęścia», na lewo zaś «wyspą niedoli». Ci co na drugiej mieszkają, są synami tych co mieszkają na pierwszej. Nikt ich nie wyganiał z raju tego — tu wskazał palcem na opromienione słońcem i wesołością przyrody wybrzeże — przenoszą się sami... i hodując wyobraźni drzewa na twardym gruncie nieszczęścia, dają je lub sprzedają bogatym i szczęśliwym braciom z za cieśniny. Pojmujesz, że wychodzących z zamożnych domów, żegnają śmiechem i szyderstwem — ale skoro powrócą niosąc dzieła pracy rąk własnych, witanemi bywają z czcią i szacunkiem. Po śmierci ich budują im pomniki, na grobowcach kładą wieńce, płaczą po nich żałując długie wieki i miłując za to, że ogień ożywczy porwali na szczycie parnasowej góry i przynieśli do ognisk domowych, u których grzeją się lata całe... i oni szczęśliwi i dzieci ich i wnuki.

Sternik zadumał się chwilę, później tak dalej ciągnął.

— Dawniej tak było jak mówiłem. Dziś rzeczy zmieniać się zaczynają. Zgoda, która panowała między nieszczęśliwemi, runęła —a spekulacya zerwała ogniwa solidarności; poczęto wzajem sobie zazdrościć, a w starodawnem i szlachetnem współzawodnictwie, bratniej miłości zabrakło. Ten zwał się *starym*, ów *młodym* przezywał drugiego. Duch czasu zimny, wyrachowany, sceptyczny, w tłómaczeniach z obcych narzeczy sprowadzony z obcych krain świata, rozwiał i rozsypał nienawiść jak ziarno po skalistym gruncie. Chwast ten bujnie wschodzić zaczął. Byli pomiędzy niemi tacy, którzy zapragnęli bogactw i użycia; chcieli w zbytkach dorównać mieszkańcom z wyspy prawej i zamiast codzień wspinać się na szczyt Parnasu, poczęli szukać w dolinach i płaszczyznach, czy przypadkiem nie znajdą złota. Fraszki ich zajęły i—gadatliwością kobiecą grzeszyć poczęli. Każden widzi w osobie towarzysza swego wroga — i chociaż dotąd przeważna ich część nosi w sercu najszlachetniejsze zamiary i poświęceniem własnem hoduje cenne drzewo wyobraźni—już «szczęśliwi ludzie» patrzą na nich nie tem co dawniej okiem. Nie umieli wzajem się uszanować i solidarnością bratnią się podtrzymywać, a dziś niewinny płaci za winnego. Dawniej, kiedy bywało mieszkaniec lewej wyspy przybył na prawą wyspę, witały go tłumy okrzykami—gorąco, serdecznie, ze czcią. O pobycie takim pisano w kronikach, pamiętano dnie w których odwiedziny miały miejsce, daty takie ryto na marmurach. Dziś, pierwszy lepszy cynik handlujący złotogłowem, jedwabiem i premiową-papierową monetą, patrzy nań z góry i za równego sobie człowieka uważa, nie pomnąc, że najgorszy z «nieszczęśliwych» pół-bogiem dlań być powinien. Wywołały to kłótnie i zwady i poddmuchiwana przez «złośliwych» nienawiść, która odkrywając drobne wady i ułomności właściwe ludzkiej naturze, rozebrała «wybranych» z anielskich i niebiańskich, moralnych szat, nakazujących poszanowanie. Kupcy i handlarze biorą ich do swych sklepów każąc im za «drobne» którémi płacą, dawać «drobną», zdawkową robotę, wysnutą z mózgu, serca, krwi, poświęcenia, wiary i nadziei. Często też z tego powodu, biedacy miewają teraz «niepłakaną trumnę» a dzieci ich idą służyć za... garsonów w restauracyach.

Sternik pochylił głowę na piersi i na chwilę zamilkł smutny:

— Jednakże nadziei nie potrzeba tracić! Obejrzeli się że stoją nad przepaścią, w którą ciągnie ich brak «godności w słowie». Polemizować zaczynają tylko w imie zasad i opinii. Już znowu w bratni sposób podają sobie dłonie, już się jednoczą.....»

Tu urywamy cytatę, nie chcąc uprzedzać wypadków i... prorokować. Zapewne wiecie czytelnicy jak o prorokach źle mówi przysłowie. My zaś, dla przysłów—mądrości ludowej—mamy wielkie poważanie. Zwracamy się zatem w stronę utylitarną..... pomijając koncerta,— a w nich monstrualnie drogi koncert Karoliny Patti, Camilla Sivori i Teodora Ritter'a—pomijamy teatr o którym osobną gawędę damy wkrótce w «Ognisku»—pomijamy *dobroczynne* i «złośliwe,» tańczące i muzykalne, poważne i plotkarskie wieczory i bale—pomijamy maskarady budzące «pewne» zajęcie w pewnych zbyt wesołych kołach—pomijamy cały brukowy materyał, na który doprawdy nie mamy miejsca, ile razy nie przemawia do nas jakąś wyższą i głębszą myślą—pomijamy nawet ciągłe projekta stowarzyszeń... które wyrastają jak grzyby po majowym deszczu..., i zatrzymani jednak, w tym wszystko pomijającym pędzie czy locie... niby człowiek spadający z góry, który za połę odzienia zahaczoną na *cierniach* lub *głogach* zawisł w powietrzu... stajemy nad *nadzieją projektu* nowej współki — zjednoczonych pięciu wydawców. Wprawdzie, zjednoczenie to nie będzie ani cierniem ani głogiem z wieńca, który mi kiedyś miłość współbraci wtłoczy na głowę; wprawdzie zlatując w otchłań codziennej dziennikarskiej pracy, nie na niem zawisnę i nie będę przezeń od banalnej tortury roboty na *wiersze* obliczającej się, uratowany,—(mowa tu o najpospolitszej prozie)—jednakże ponieważ ma ono na celu wydawanie *«dzieł oryginalnych przedewszystkiem»* różniąc się tem od poprzedniego, złożonego z potężnych firm księgarskich ustalonej renomy, święcę mu tu krótką lecz pochwalną i zachęcającą wzmiankę. Należyć doń będzie: p. Stopelle, energiczny wydawca i zdolny tłómacz kilku znakomitych utworów literatury zagranicznej; pan B. Cassius, który niedawno porzuciwszy mozolny zawód pedagoga, nabył księgarnię po zmarłym S. H. Merzbachu i urządziwszy ją starannie i umiejętnie, pełnemi żaglami wypływa na szerokie morze korzystnych i pożytecznych wydawnictw; p. Okoński, znany księgarz; p. Traenkler nowicyusz wprawdzie w handlu księgarskim, jednakże zdobywający już złote ostrogi w zawodzie do którego oprócz pieniędzy i szczęścia potrzeba jeszcze zdolności i wykształcenia; oraz p. Kauffmann, któremu do-

tąd, — jak kronika utrzymuje — nie dość szczęśliwie wiodło się w literackiem *kupnie i sprzedaży*. Czy można jednak temu dziwić się?! Wszak komedya J. Zacharyasiewicza «Kupno i Sprzedaż» chociaż protegowana i popierana słynnem nazwiskiem utalentowanego powieściopisarza, nie może wejść na deski sceniczne «Teatru Rozmaitości» i dla towarzystwa może przytrzymuje «Gonitwy» Edwarda Lubowskiego i Blizińskiego «Chleb ludzi bodzie».

My jednak nie wierzymy plotkom i plotkarzom, nie wierzymy aby tytuł sztuki, mniej lub więcej szczęśliwy, mógł przyspieszyć lub odłożyć jej przedstawienie, niewierzymy w to i nie chcemy wierzyć aby mogli znaleźć się artyści odrzucający role w oryginalnych sztukach, słowem odsuwamy od siebie wszelkie złe myśli i krzywdzące podejrzenia... i *optymizmem* tym przesiąknięci do kości, nurzamy się w przedmiot... pełen rzeczywistej, serdecznej pociechy, otuchy i nadziei.

Należy on do dziedziny wychowania dziecinnego.

Przy ulicy N. Świat, w ogrodzie Foksalem zwanym, znajduje się «Zakład gimnastyki, zabaw i użytecznych zajęć dla dzieci» pod kierownictwem pani Teressy Mleczko. Zwiedziliśmy go i oto poniżej, co możemy o nim powiedzieć naszym czytelnikom. Będzie to suche lecz szczere i wierne sprawozdanie, chcielibyśmy bowiem aby treścią swą a nie stylowem obrobieniem, obudziło w sercach ogółu chęć współdziałania i zajęcia się *instytucyjką* malutką, którą szlachetność tendencyi i dobra wola, ogrzewają ciepłem *prawie* rodzinnego, *domowego ogniska*.

Celem zakładu, jest rozwój fizyczny i umysłowy młodziutkiego pokolenia. Posiada on obszerny ogród na lato, a nader starannie i stosownie urządzone mieszkanie na miesiące zimowe. Otwartym jest przez rok cały, z wyjątkiem dwumiesięcznych wakacyj, w czasie najsilniejszych mrozów i licznych świąt, to jest od 1 grudnia do dnia 1 lutego. Dzieci przychodzą do zakładu codziennie, prócz niedzieli i świąt uroczystych, zimową porą, raz na dzień, od godziny 10 z rana do 3 po południu, a w lecie dwa razy, to jest od 10 do 1 i po południu od 4—7. Przez ten cały czas pozostają pod nieustannym nadzorem osób kierujących zakładem i ani na chwilę niespuszczane z pod pieczołowitego oka, oddane są zajęciom różnym. Zatrudnienia poprzedza śpiewanie modlitwy przy muzyce. Następnie dzieciaki nucą piosenki umyślnie dla nich ułożone. Potem siadają do stolików, przy których co pół godziny zmieniają im zajęcie, tak aby po umysłowem następowało fizyczne, po ruchu spoczynek, wraz z ręczną jaką pracą. Każde dziecko, uczęszczające do zakładu, ma swój własny ogródek, który wolno mu uprawiać, zasiewać, zasadzać, podług własnego upodobania, ale raz zasiawszy go i uprawiwszy, musi go samo polewać, pleć, gracować przy niem uliczkę, do czego stosowne ogrodnicze narzędzia znajduje w zakładzie. Zapewniano nas, że mali robotnicy z gorącem zamiłowaniem pracują na *swoich* kawałeczkach gruntu. Niejeden malec z dumą niesie rodzicom rzodkiewkę, którą sam wypielęgnował; niejedna dziewczynka bukietem z wyhodowanych przez siebie kwiatów darzy, na imieniny, ojca lub matkę. Do rozwoju sił fizycznych służy gimnastyka systematycznie prowadzona przez sumiennego nauczyciela p. Maryana Olszewskiego, stosowana według przepisów Dra Józefa Wszebora, mającego nadzór lekarski nad dziećmi uczęszczającemi do zakładu. Nadto gry wyrabiające zręczność i siłę, wspomniane powyżej uprawianie ogródków, jazda na welocypedach, strzelanie z łuku do celu, przyczyniają się niepomału do rozwoju fizycznego. Umysłowe rozwijanie się, zaczyna się od wpojenia wyższych pojęć o Bogu, przez poznawanie dzieł Jego w przyrodzie i w tym całym małym świecie, otaczającym dzieci. Sposobem poglądowym, stawiają się w ich umyśle podwaliny wszelkich nauk. Rysunki prowadzone systematycznie, przygotowują je do nauki pisania. W ciągu miesięcy zimowych mała szkółka mieści się w mieszkaniu, gdzie w obszernej sali znajdują się przyrządy do gimnastyki. Dzieciaki wychodzą na przechadzkę do ogrodu wtedy tylko, kiedy pogoda na to pozwala. Z dniem zaś 1 maja zakład przenosi się na dobre do ogrodu, na świeże powietrze. W galeryi, na wpół oszklonej, stoją szafy z zajęciami dla malców, tuż obok pianina służące do akompaniowania przy śpiewie, gimnastyka, najrozmaitsze gry i narzędzia ogrodnicze. Pod otwartą galeryą ustawiają się stoliki i ławki, przy których dzieciaki odbywają swoje zajęcia, a tym sposobem nieustannie zostają na świeżem powietrzu, i to aż do 1 października, kiedy znowu zakład na *zimowe leże* kryje się w mieszkaniu. Wtedy to urządzone bywają i lekcye tańca, w których oprócz dziatwy i dorosłe panienki mogą brać udział, a przytem uczyć się nauki kroju, wszelkich ręcznych robót, a nawet kształcić na wzorowe bony.

Pragnęlibyśmy szczerze aby ten opis zwrócił uwagę... Aby matki pospieszyły się przekonać czy tak jest w istocie jak napisaliśmy... a jeśli «tak jest w istocie» żeby... Wszakże nie potrzebujemy myśli zaczętej kończyć?! —każdy ją odgadnie... i zrozumie, dla czego felietonista pragnie być «optymistą», chociaż materyał sprawozdawczy, jaki mu okoliczności pod pióro podsuwają, nie jedną czerni się «plamą». Aj! te plamy!—ileż bo ich wszędzie!... brudną kałużą rozlewają się wśród społeczeństwa tak obficie, że najróżowiej na sprawy ludzkie zapatrujący się kronikarz musi o nie nieraz mimowolnie potrącić. Jestto dla felietonisty obowiązek niezmiernie przykry, lecz nie dający się ominąć, w takich zwłaszcza wypadkach, gdy nadużycie czyjegoś zaufania, gdy zła wiara i wola szydzi z oszukanej ofiary, korzystając z osłony jakiej jej użycza *litera prawa*. Dla tego też w jak najkrótszych wyrazach «rozmazujemy» jak można najmniej, tę jedną ze skandalicznych plamek towarzyskiego firmamentu. Nadesłano ją nam w liście wiarogodnej osoby... mniemającej, że publiczne poruszenie jej wywoła... upamiętanie i poprawę.

«Pewna zacna i biedna kobieta, która po ciężkiej kilkunastoletniej pracy pedagogicznej zdołała zaoszczędzić niewielką sumę, rozpożyczyła ją tu i owdzie... przyjaciółkom. Jedna z nich, żona adwokata, wzięła «la part du lion», tej dobrodusznej lokacyi; ale kiedy przyszło do oddania, z prawem obeznana debitorka, odmówiła zwrotu zaciągniętej pożyczki, tłómacząc się, że *popełniła* ją bez upoważnienia i assystencyi męża».

Czy wyrazy tego krótkiego opowiadania wywołają «upamiętanie«?... wątpić się godzi. Jednakże... może.. Daj Boże!!—Dla tego też tylko... ośmielamy się... gawędę naszą dzisiejszą skończyć tą plamką, niby punktem... i kładziemy przy *niej* znak zapytania i wykrzyknik?!...

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski.**

Дозволено Цензурою, 10 (22) Января 1876 года.